

Temat tygodnia

- 10 Adam Grzeszak
Pora na nowy kodeks drogowy

Polityka

- 14 Ewa Siedlecka
Sejm-wydmuszka
16 Malwina Dziedzic
Koniec Nowoczesnej?
20 Ewa Siedlecka
Sprawa sędziego Stępnia
23 Grzegorz Rzeczkowski
Za co officer SKW dostał półtora miliona

Społeczeństwo

- 26 Martyna Bunda, Joanna Cieśla
Ferment feministyczny
29 Joanna Cieśla
Szkoła w domu
32 Marcin Kołodziejczyk
Niefortunny zwycięzca Biegu Konstytucji
34 O karze ostatecznej i jej roli społecznej mówi sędzia w stanie spoczynku
Adam Kabziński
38 Juliusz Ćwieluch
Skąd nagle tylu studentów z Ukrainy
40 Jan Rojewski
Jak zmieniać miasta razem z ludźmi

Rynek

- 42 Ryszarda Socha
Choroby morskie
48 Adam Grzeszak
Pszczelarstwo wiejskie i miejskie

Świat

- 52 Marek Ostrowski FRANCJA
50 lat po Maju '68
55 Rozmowa z politologiem
Charlesem Kupchanem
o demolującej polityce zagranicznej Trumpa
58 Sławomir Sierakowski NIEMCY
Nowe oblicze ministra Seehofera
60 Maciej Okraszewski
Azja się rozwarstwia

Historia

- 62 Wiesław Władysław
II RP z perspektywy PRL

16



Ponowoczesna

26



Teraz kobiety!

42



Bałtyk umiera?

76



Babie lato monarchii

- 66 Andrzej Fedorowicz
Czechosłowacja 1938 r.: mobilizacja majowa

Nauka

- 70 Edwin Bendyk
Jak odzyskać kontrolę nad światem w epoce cyfrowej
73 TECHNOECHO
74 Paweł Walewski
Agent detergent

Ludzie i style

- 76 Marek Rybarczyk
Windsorska opera mydlana
82 Marcin Piątek
Połowanie na młodych piłkarzy

Kultura

- 88 Piotr Sarzyński
Fenomen rzeźb Moore'a
91 Aneta Kyzioł
Pożar w Burdelu: „Bem!” i inne wskrzeszenia na 100-lecie Polski
94 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
96 Paweł Dunin-Wąsowicz
Książki dla dzieci o Zagładzie
98 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
99 Janusz Wróblewski
„Zimna wojna”: nostalgiczna odyseja Pawlikowskiego
101 Dorota Szwarcan
Wanda Wiłkomirska – skrzypaczka z sercem na dłoni

Na własne oczy

- 108 Tekst i fotografie Dominik Sipiński
Karenowie – uchodźcy z Mjanmy

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 84 Afisz • 103 Za stołem
- 104 Hartman • 105 Passent
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Czy warto być Polakiem

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą odzyskania niepodległości często poruszana jest kwestia: czy warto być Polakiem? Na Podkarpaciu planowany jest w tej sprawie konkurs dla uczniów klas siódmych oraz drugich i trzecich gimnazjalnych pod hasłem „Warto być Polakiem”. Patronuje mu marszałek Kuchciński – żywy dowód na to, że Polakiem warto być, nawet jeśli ludzie wrogo nastawieni do polskości Kuchcińskiego zapewniają, że gdyby mieli być takimi Polakami jak Kuchciński, to woleliby być Bułgarami. Organizatorzy konkursu stanęli na stanowisku, że Polakiem warto być dlatego, że śp. Lech Kaczyński i św. Jan Paweł II także byli Polakami, co zresztą ilustruje dobór tematów konkursowych: 1. „Działalność Lecha Kaczyńskiego w opozycji antykomunistycznej”, 2. „NSZZ »Solidarność«, Lech Kaczyński, św. Jan Paweł II – wspólna rola w odbudowie Polski po 1989 r.”, 3. „Prezydent Kaczyński jako lider państw Europy Środkowej i Wschodniej”, 4. „Polityka historyczna prezydenta Kaczyńskiego”, 5. „Życiowa postawa prezydenta Kaczyńskiego. Czy warto być wiernym do końca?”. Tematy te jasno pokazują młodzieży, do czego można w życiu dojść, będąc Polakiem. I chociaż nie każdy Polak może być kimś na miarę śp. Lecha Kaczyńskiego czy św. Jana Pawła II,

to z pewnością każdy Polak może być dumny z tego, że oni byli Polakami.

Jeśli mam do konkursu „Warto być Polakiem” jakąś uwagę, to tylko taką, że jego hasło z góry sugeruje prawidłową odpowiedź, tymczasem opinie na temat tego, czy warto być Polakiem, są niestety podzielone. Zasadniczo uważa się, że bycie Polakiem opłaca się bardziej niż bycie Rumunem czy mieszkańcem Afryki. Jednak wiele osób narzeka, że chociaż są Polakami, i tak do niczego w życiu nie doszli, dlatego zastanawiają się, czy nie warto zostać Niemcami, bo wiadomo, że z bycia Niemcem człowiek miesięcznie wyciągnie więcej. W dodatku będąc Niemcem, zna się przynajmniej jeden obcy język, podczas gdy będąc Polakiem, trzeba się go nauczyć, co nie zawsze się udaje.

Mimo to uważam, że bycie Polakiem ma swoje plusy, np. można wygrać główną nagrodę 1100 zł w dorocznym Biegu Niepodległości w Skarżysku-Kamiennej, tymczasem będąc Rumunem, a zwłaszcza Afrykańczykiem – nie można, gdyż organizatorzy zastrzegli, że „z uwagi na patriotyczny charakter imprezy nagradzani będą wyłącznie uczestnicy posiadający obywatelstwo polskie”. Zgadzam się z organizatorami, że jest to rozwiązanie sprawiedliwe, ponieważ Afrykańczycy biegają szybciej od Polaków i próbują się ich kosztem wzbogacić, masowo wygrywając w organizowanych w całej Polsce biegach. Oczywiście taka postawa jest niezgodna z duchem sportowej rywalizacji i tylko zniechęca Polaków do biegania oraz szanowania konstytucji, bo po co się starać, skoro pieniądze i tak zgarną inni.



Utykanie



Jerzy Baczynski

Warszawska manifestacja opozycji – nazwana Marszem Wolności – była w sumie dość udana. Mówię „dość udana”, bo mimo bardzo dobrej frekwencji nie była to demonstracja całej antypisowskiej opozycji, a przede wszystkim nie miała już takiej energii i entuzjazmu jak pamiętne, niegdyśjsze manify. Trudno się dziwić: z góry było wiadomo, że to jest marsz do użytku wewnętrznego – żeby się zobaczyć i pokazać – a nie wpłynąć jakkolwiek na władzę, która programowo wszelkie akty sprzeciwu ignoruje, pomniejsza i obraża. W tłumie maszerującym Traktem Królewskim nie czuło się żadnej desperacji i złości, nawet niespecjalnie dużo było transparentów i haseł, jakby w przekonaniu, że przecież „i tak wszystko wiadomo”. Marsz Wolności dobrze chyba oddawał obecny stan ducha antypisowskiej opozycji: wyraźnie wróciła nadzieja, że można wygrać wybory i normalnie odsunąć PiS od władzy.

Jest w krajach anglosaskich żartobliwe określenie opisujące polityka, który wciąż rządzi, ale jego przyszłość jest już przesądzona – to „Lame duck”; w naszych warunkach trudno to popularne pojęcie tłumaczyć i stosować ze względu na bardzo nieeleganckie skojarzenia z nazwiskiem i obecnymi ortopedycznymi kłopotami lidera (choć i tak jest sympatyczniejsze od „zdradzieckich mord”). Jednak w sensie politologicznym dokładnie o to chodzi: politycy opozycji poczuili, że Kaczyński i jego formacja utknęli. I utykają. Taki jest dziś nastrój.

To paradoks, bo właśnie teraz PiS skutecznie obezwładnił kolejną – tym razem absolutnie kluczową dla demokracji – instytucję, czyli Sejm RP (czytaj s. 14); bo rozpada się na naszych oczach druga największa partia opozycyjna – Nowoczesna (więcej s. 16). A jeszcze, mimo afery z nagrodami dla ministrów i dramatycznej okupacji sejmowego korytarza przez rodziny osób niepełnosprawnych, sondaże wciąż dają PiS zdecydowaną i stabilną przewagę nad partiami opozycji? Więc gdzie tu kryzys? Otóż niby nie, a jednak tak. Widać jak, choćby czasowa, niedyspozycja Jarosława Kaczyńskiego dezorganizuje obóz władzy, czego przykładem chaotyczne i nerwowe reakcje na protest niepełnosprawnych, zahamowanie większości prac legislacyjnych (nie powołano nawet komisji śledczej ds. VAT), jawne napięcia i konflikty między partyjnymi koteriami (gdzie się podziela wicepremier Szydło?). Pisowscy kandydaci na prezydentów miast w większości okazują się dosyć słabi i raczej niezdolni do powtórzenia wyborczej niespodzianki Andrzeja Dudy. Niskim Unii Europejskiej (która jednak nie odpuszcza wobec Polski procedury art. 7) utrudnia faktyczne przejmowanie sądów. Gospodarka ma się świetnie, ale już nie równoważy wydatków budżetu. Jednak najgorsza z punktu widzenia PiS zdaje się stopniowa konsolidacja opozycji.

Personalny kryzys w Nowoczesnej, łącznie z odejściem założyciela partii, dość powszechnie jest uznawany za koniec tej formacji. Przedwcześnie. Nowoczesna Katarzyny Lubnauer razem z Platformą utworzyły jednak załączek Zjednoczonej Opozycji, na wzór Zjednoczonej Prawicy zgromadzonej wokół PiS. Ta „Koalicja Obywatelska” daje Nowoczesnej, bez względu na wahania sondażowe, poczucie bezpieczeństwa wyborczego, a dawnemu elektoratowi PO, kompletnie zniechęconemu do Schetyny, szansę niezmarowania głosu. Żeby lustrzany projekt Zjednoczonej Opozycji, stojącej naprzeciw Zjednoczonej Prawicy, się powiódł, potrzebne byłoby jeszcze

wzmocnienie flanki lewicowo-liberalnej i kto wie, czy coś takiego nie zaczyna się wykuwać. Albo w postaci odradzającego się SLD, albo związku SLD-PSL, o czym coraz głośniejsze (i któremu sondaże dają już kilkanaście procent poparcia), albo nowego „biedroniowego” ruchu, który ma powstać i może kiedyś to zrobić.

Sondaże pokazują, że opozycja może liczyć na hojną premię za współdziałanie: PO i Nowoczesna razem mają ostatnio większe poparcie niż Zjednoczona Prawica i większe niż obie opozycyjne partie sumowane osobno. Dotychczas koncepcja organizacyjnych, przedwyborczych sojuszy opozycji była uznawana za utopijną, nieracjonalną, wręcz szkodliwą z punktu widzenia celu – pokonania PiS. Bo niby co miałyby łączyć różnicowane programowo, historycznie, generacyjnie, skłócone personalnie formacje i środowiska? Jedną z obiegowych prawd opozycji głosi, że przeciwnicy PiS muszą skupić się na programach i pomysłach, na tym, jaka konkretnie ma być ta „Polska po PiS”, i dopóki tego nie zaproponują, wyborcy nie wrócą. Otóż ta szlachetna postawa wydaje się pomału tracić sens. Realny program opozycji jest codziennie pisany przez PiS i tego już jest tyle, że wystarczy dla opozycji na całą kampanię i potem jeszcze na parę lat.

Po ewentualnym odpawaniu PiS od władzy na przyszłą koalicję wysypie się kilkadziesiąt wielkich tematów. Co zrobić z nadwerężonymi czy wydrążonymi przez PiS instytucjami: Trybunałem Konstytucyjnym, Sądem Najwyższym, KRS, Sejmem? Co z mediami publicznymi, zdewastowanymi programowo, kadrowo i moralnie? Jak zachować się wobec samego PiS i jego ludzi? Jak domknąć rozgrzebane reformy służby zdrowia, edukacji, pomocy niepełnosprawnym; jakie kompetencje przywrócić lub oddać samorządom? Jak zarobić na 500 plus i inne obecne oraz przyszłe zobowiązania socjalne, których nie można i nie warto cofać? Co ze spółkami Skarbu Państwa? Itd.

PiS – to jego wielka ustrojowa zasługa – odsłonił rozmaite słabości naszej demokracji, spotęgował i skarykatyzował wszelkie wady III RP. Ale trudno dziś budować na przyszłość szczegółowy program naprawczy, bo nie wiadomo, w jakim stanie za dwa lata będzie polskie państwo. I jasne jest, że nie ma prostego powrotu do tego, jak było. Lęk przed recydywą PiS powinien być wystarczającą motywacją, aby ta popisowska Polska była lepiej i mądrzej zbudowana, bardziej otwarta, demokratyczna, równa, sprawiedliwa, europejska. Przed dzisiejszymi partiami opozycyjnymi rozciąga się więc obszar zadań większy, niż można go zagospodarować. Nie ma też w opozycji – obojętnie, jak się organizacyjnie poskłada – tak głębokich podziałów aksjologicznych i ideowych, aby nie dało się znaleźć rzeczowych, praktycznych odpowiedzi na pytania pozostawione przez PiS. AntyPiS coraz mniej potrzebuje „wielkich, nowych programów” – stale żądanych od liderów partyjnych. Sam w sobie staje się bardzo konkretnym i bardzo wymagającym planem.

Jan Koza



© JAN KOZA

TVP więdnie, prezes kwitnie

Mimo rządowych dotacji i pożyczek TVP grzęźnie w kłopotach finansowych i wizerunkowych. Ale propagandowy przekaz płynie, jak płynął, pieniądze na podwyżki dla kierownictwa się znalazły, a prezes Jacek Kurski ma się dobrze jak nigdy.

Gdy prezes ogłaszał odbudowę siły i prestiżu TVP, inny spec PiS od mediów, czyli szef Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański, położył palec na dzwonku alarmowym. Ogłaszając, że od przyszłego roku abonament zastąpi dotacja budżetowa, która mogłaby wynieść nawet 2 mld zł, przyznał poniekąd, że bez wsparcia z budżetu państwa TVP nie utrzyma się długo na powierzchni.

Wystarczy spojrzeć w sprawozdanie finansowe publicznej telewizji za ostatni rok, które jeszcze przed zatwierdzeniem przez radę nadzorczą nadawcy ujawnił Juliusz Braun, opozycyjny członek RMN. Wynika z niego, że TVP pod rządami Kurskiego brnie w coraz większe tarapaty – widownia spada, realne przychody również. Co prawda wynik telewizji za 2017 r. był dodatni – choć wyniósł zaledwie 500 tys. zł – to nie udało się go osiągnąć bez dodatkowych zastrzyków gotówki od państwa.

To blisko 900 mln zł tzw. rekompensaty za osoby zwolnione z płacenia abonamentu w latach 2010–17 plus 800 mln zł kredytu udzielonego na pięć lat z Funduszu Reprywatyzacji, który TVP zacznie spłacać w przyszłym roku. Ale przy rosnących wydatkach (w ubiegłym roku wyniosły 1,8 mld zł, w tym – ponad 2 mld zł), spadających przychodach z reklam (niespełna 800 mln zł, czyli najmniej w najnowszej historii TVP) i abonamentu (355 mln w 2017 r. przy 365 mln rok wcześniej), takie doraźne kroplówki nie postawią pacjenta na nogi. Już dziś kierowany przez Kurskiego zarząd TVP szacuje, że obecny rok zamknie stumilionową stratą.

Gorzej, że o porządnym prowadzeniu się pacjent ani myśli. Mimo kłopotów ubiegły rok stał pod znakiem podwyżek – głównie dla ludzi Kurskiego. Dyrektorzy i ich zastępcy, których liczba wzrosła o czterech, zarobili w 2017 r. średnio o 1,2 tys. zł więcej. Ich pensje sięgają już średnio 20 tys. zł. Powodów do narzekań nie ma też dziewiątka doradców zarządu (o dwóch więcej niż w 2016 r.), którzy zarabiają po ponad 20 tys. zł miesięcznie, średnio o 970 zł więcej niż dwa lata temu. Jak na tym tle wypada zarząd, czyli Jacek Kurski i Maciej Stanecki? Nie wiadomo, bo od kiedy w lipcu ubiegłego roku przeszli na kontrakty menedżerskie, ich zarobki przestały być ujawniane. Wcześniej zarabiali powyżej 25 tys. zł. Trudno podejrzewać, by dziś utrzymywały się na tym samym poziomie.

Wiadomo za to, że na ich tle zarobki tzw. pracowników emisji wypadają więcej niż blado. Średnio to niewiele ponad 5 tys. zł,

przy śladowej skali podwyżek – 42 zł – nie wystarczy nawet na opłacenie abonamentu RTV za dwa miesiące. Ale to przecież nie na nich spoczywa ciężar prorządowego przekazu propagandowego, który zapewnił Kurskiemu sporo punktów u prezesa z Nowogrodzkiej.

Ale by ów przekaz nie był zagrożony, nie wystarczą podwyżki dla jego twórców. PiS musi coś wymyślić, by tracąca widzów i przychody TVP nie zatonęła. Czy to będzie manewr z jej przejściem na pełne utrzymanie państwa, jak ogłosił Czabański? Takie rozwiązanie dla PiS byłoby idealne, bo zdejmując z głowy problem łatania finansowych dziur nie tylko w telewizji, ale również w publicznym radiu. Tyle że trudne do przeprowadzenia, bo wymagające zgody Komisji Europejskiej. Bardziej prawdopodobne jest, że Ministerstwo Kultury, które pracuje nad różnymi rozwiązaniami dla rządowych mediów, wymyśli coś pośredniego. Jakąś kolejną rekompensatę, pożyczkę czy opłatę – słowem coś, co pozwoli ominąć brukselską rafę i nie wywoła gniewu suwerena.

Kłopoty TVP są autentycznym sukcesem Kurskiego. Bałagan, który wprowadził, zapewnił mu nieusuwalność. Nikt się nie pali, by wejść do stajni Augiasza na Woronicza i ją posprzątać. Z drugiej strony kłopoty telewizji nie są już jego problemem – przecież to nie on obiecywał, że zmieni system finansowania mediów publicznych na bardziej skuteczny. Zatem prezesowi nie pozostaje nic, tylko wydawać.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI



© POLITYKA

Kariera lepsza od oficera

Przeegrany proces z POLITYKĄ rzuca więcej światła na politykę kadrową ministra Antoniego Macierewicza. Po przegranej w dwóch instancjach resort obrony narodowej został zmuszony do udzielenia odpowiedzi na pytania wysłane do biura prasowego MON we wrześniu 2016 r. Pytaliśmy o wykształcenie i doświadczenie zawodowe ówczesnej rzecznik prasowej, która na chwilę zastąpiła na stanowisku przymusowo urlopowanego Bartłomieja Misiewicz. Trudno się dziwić, że ludzie

Macierewicza woleli iść do sądu, niż odpowiedzieć na pytania. Okazało się, że Katarzyna Szymańska-Jakubowska zatrudniona w MON od 16 listopada 2015 r. nie miała żadnego doświadczenia na stanowisku, które obejmowała. A właściwie nie miała żadnego doświadczenia zawodowego, bo nie przedstawiła dokumentów potwierdzających jej wcześniejsze zatrudnienie. Przed przyjściem do resortu związana była z biurem poselskim Antoniego Macierewicza. Pełniła tam funkcję asystentki.

Osoba, która przez kilka miesięcy była twarzą resortu, oprócz braku doświadczenia, nie miała również skończonych studiów. Nie przeszkadzało to ministrowi Macierewiczowi

wyznaczyć ją na rzecznikzkę prasową, a nawet odznaczyć złotym medalem za zasługi dla obronności. Medalem przyznawanym za szczególne męstwo i odwagę „w bezpośrednim działaniu związanym z obronnością kraju”, szczególne zasługi w dziedzinie nowoczesnej myśli wojskowej, ewentualnie przyczynienie się do „rozwoju i umocnienia systemu obronnego kraju”. Pomimo przegranej w sądzie MON do dziś nie odpowiedziało, jakie szczególne zasługi dla obronności miała Szymańska-Jakubowska. Chyba że chodziło o zasługi w obronie ministra Macierewicza, do czego pani rzecznik podchodziła w sposób nieszablony, łamiąc prawo i konsekwentnie nie odpowiadając na wszystkie trudne pytania skierowane do resortu. JUL



Okrucieństwo w majestacie prawa

Na szczytach władzy nie podjęto jeszcze decyzji, że teoria o smoleńskim zamachu nie będzie forsowana jako oficjalne stanowisko polskiego państwa.

Gdy do czytelników POLITYKI dotrze ten tekst, zapewne nie będę już odczuwał takiego napięcia, jakie towarzyszy mi teraz, ale oceny, jakie w nim formuję, pozostaną aktualne. Piszę w niedzielę 13 maja. Jutro ma zostać przeprowadzona ekshumacja szczątków Arama Rybickiego, mojego przyjaciela, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Tak zdecydowała prokuratura, nie licząc się ze stanowczym sprzeciwem Małgorzaty, żony Zmarłego, jego rodziny i przyjaciół. W sporym gronie wybierzemy się więc na gdański cmentarz Srebrzysko, aby wyrazić nasz niemy protest. Wiemy, że nie zatrzyma on bezdusznego działania maszyny państwowej, bo ekshumacja szczątków Arama nie będzie przecież pierwszą ekshumacją ofiary katastrofy smoleńskiej dokonaną pomimo katerycznego sprzeciwu najbliższych. Było już ich wiele. Ta ekshumacja będzie jedną z ostatnich. Musimy jednak być obecni, aby zaprotestować przeciwko okrucieństwu i skrajnemu cynizmowi ludzi, którzy podjęli decyzje o ekshumacjach.

Okrucieństwo to nie za mocne, ale w pełni adekwatne określenie. Okrucieństwem jest naruszanie spoczynku zmarłych, wywoływanie traumy w ich rodzinach, kolejnej żałoby i powtórnych pogrzebów. Bliscy ofiar wycierpieli już bardzo wiele, noszą w sobie rany, których nie można bezduszenie rozdrapywać bez ważkich powodów. W tym przypadku wiadomo, że tych ważkich powodów nie ma. Już pierwsze ekshumacje, przeprowadzone kilka lat temu na polecenie Prokuratury Wojskowej, przed przejęciem władzy przez PiS, wykazały, że ciała ofiar noszą obrażenia typowe dla wypadków lotniczych i nie ma na nich żadnych śladów świadczących o wybuchu na pokładzie prezydenckiego samolotu. Te przeprowadzane już pod rządami PiS na polecenie prokuratury, kierowanej przez ministra Zbigniewa Ziobrę, w tej najważniejszej sprawie nie przyniosły niczego nowego.

Prokuratura Krajowa w odpowiedzi na zapytanie rzecznika praw obywatelskich uzasadniała potrzebę przeprowadzenia ekshumacji wszystkich ofiar katastrofy smoleńskiej niedotrzymaniem przez rosyjskich śledczych najwyższych standardów. Małgorzata Rybicka tak komentowała to uzasadnienie jesienią 2016 r. w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”: „Ja to rozumiem następująco: skoro wtedy nie dochowano najwyższych standardów, to teraz według śledczych należy otworzyć trumny i przebadac ciała według standardów lepszych. Efektem będzie skompletowana i uzupełniona dokumentacja. To bardzo niewiele, jak na tak drastyczny i okrutny akt (...). Przymusowa ekshumacja to naruszanie tabu obowiązującego w naszej kulturze, dotyczącego szacunku dla ciał zmarłych. Świadczy też o beztroskim traktowaniu uczuć rodzin. Nie mogę się na to zgodzić. Nie da się zaskarżyć tej decyzji, ale prokurator generalny może ją zmienić, wycofać”. Dziś wiemy, że prokurator generalny decyzji nie zmienił. Ani w przypadku ekshumacji Arama Rybickiego, ani w żadnej innej sprawie ekshumacji ofiar katastrofy smoleńskiej.

Drażnienie rodzin zmarłych nie jest oczywiście głównym celem działań prokuratury. Dzieje się „po drodze”. Jest kosztem ubocznym działań służącym ważnym politycznym celom władzy. Jakże to cele? Jeden wydaje się oczywisty. Jest nim bardzo znaczne przedłużenie śledztwa, które przed przejęciem władzy przez PiS w 2015 r. było już na ukończeniu przez Prokuraturę Wojskową.

Kłamstwo o rzekomej zbrodni smoleńskiej, dokonanej ze współudziałem ówczesnych polskich władz, stało się jednym z najważniejszych elementów ogniskujących emocje „twardego jądra” zwolenników

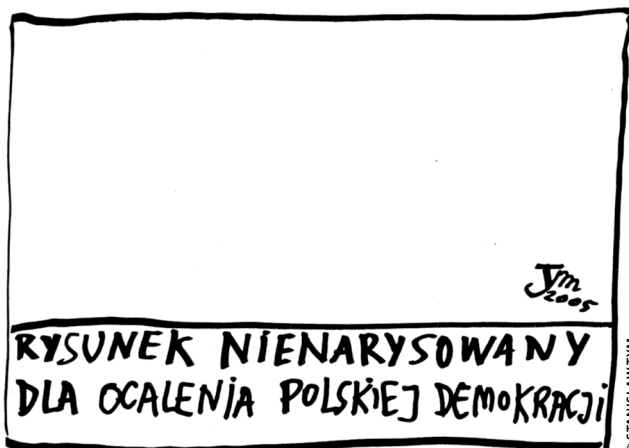
PiS i powodującym dramatyczne rozdarcie wspólnoty narodowej. Służyło ono PiS w kampaniach wyborczych. Obarczanie przeciwników politycznych odpowiedzialnością za „zbrodnię smoleńską” pozwalało na nazywanie ich zdrajcami narodu, a ich zwolenników – „Polakami gorszego sortu”. Ostudzenie złych emocji rozbudzonych w „ludzie smoleńskim” może go zdemobilizować, a w przypadku oficjalnego ogłoszenia, że tragedia, która wydarzyła się 10 kwietnia 2010 r., była nieszczęśliwym wypadkiem lotniczym, a nie zbrodnią, może spowodować podział w obozie władzy i wśród jego zwolenników. Tak więc ze względu na polityczny interes rządzących bezpieczniej sprawę przewlekać, nadal jątrzyć i utrudniać łagodzenie podziałów występujących we wspólnocie narodowej. A że cierpią ludzie? No cóż, trudno.

Nie mogę jednak całkowicie wykluczyć, że jest także drugi cel zakładania spokoju tragicznie zmarłych i ich bliskich. Stale przecież działa podkomisja Antoniego Macierewicza, jako oficjalna państwowa instytucja, i bynajmniej nie wycofuje się z tezy o wybuchach na pokładzie prezydenckiego samolotu, które miały doprowadzić do katastrofy. Przed ponad miesiącem komisja ogłosiła takie właśnie wyniki swych „badań” w tzw. raporcie technicznym.

Możliwe także, że władza zamierza po długim czasie ogłosić, że nie da się ustalić, co stało się pod Smoleńskiem. Taki scenariusz także wymaga przewleknięcia śledztwa. Ekshumacje służą temu celowi, jak znalazł. Bez względu na to, która z tych interpretacji przyczyn poczynania władzy jest trafna, wszystkie wyrastają z niskich, politycznych pobudek.

Od późnej jesieni 2015 r. w Polsce konsekwentnie, chociaż etapami, budowany jest nowy system polityczny, polegający na skupianiu władzy w jednym ośrodku i centralizowaniu decyzji politycznych. Elementem tego systemu jest także absolutna władza prokuratora generalnego – ministra sprawiedliwości, nad prokuraturą, i upolitycznienie tej instytucji.

W tej sytuacji nie sprawia żadnej trudności wskazanie głównych sprawców okrucieństw dokonywanych w majestacie prawa. Są nimi: Jarosław Kaczyński i Zbigniew Ziobro, ale także premier Mateusz Morawiecki, o którym wiemy, że to nie on decyduje w ważnych sprawach państwowych, ale je firmuje. Będziemy pamiętać.





© EAST NEWS (2)

Antysystemowcy z populistami

Po 10 tygodniach od wyborów włoskim partiom udało się wreszcie zawiązać koalicję. Rząd stworzy antysystemowy Ruch Pięciu Gwiazd **Luigi Di Maio** i skrajnie populistyczna Liga Północna **Matteo Salvini**, która do urn szła jako centroprawicowy blok razem z Forza Italia Silvio Berlusconi. Jednak dopiero kiedy Liga zrzuciła balast byłego premiera, z którym układania się nie wyobrażał sobie Ruch, impas został przełamany. Tyle że populistyczny rząd, w dodatku stworzony przez partie, których głównym spoiwem jest eurosceptycyzm, i może jeszcze tylko miłość do Rosji Władimira Putina, wcale nie oznacza końca kłopotów. Nie wiadomo np., czy niedawna decyzja Włoch, żeby stać w jednym szeregu z innymi krajami Unii w sprawie poparcia dla porozumienia nuklearnego z Iranem, za chwilę jeszcze w ogóle będzie aktualna.

Analitycy przewidują też, że koalicja populistów przestawi Włochy na boczny tor polityki europejskiej, a i tak nie za mocna gospodarka jeszcze bardziej ucierpi. Nie pomogą też pomysły w stylu referendum w sprawie członkostwa Włoch w strefie euro, namawianie do ignorowania unijnego 3-procentowego limitu deficytu budżetowego czy próby odwrócenia wprowadzonej w 2011 r. reformy emerytalnej. Ani też wielkie ambicje polityczne obu przywódców partii koalicyjnych, którzy przez ostatnie dni próbowali podzielić się fotelami premiera (w chwili zamykania tego numeru jeszcze nie było wiadomo, jaki był efekt ich ustaleń).

Trump straszy Europę

Wciąż nie wiadomo, które sankcje na Iran odwieśi Ameryka po wyjściu z porozumienia nuklearnego. Ogłaszając tę decyzję 8 maja, Donald Trump zapowiedział, że „wszystkie”. To oznaczałoby również tzw. sankcje wtórne (eksterytorialne), których ofiarą mogą paść europejskie firmy. W weekend taki ruch sugerował doradca Trumpa John Bolton. Europejski biznes najwięcej skorzystał na porozumieniu, które z początkiem 2016 r. otworzyło irański rynek. W ciągu dwóch pierwszych lat zagraniczne inwestycje w Iranie niemal się potroiły. Głównie za sprawą Chińczyków i właśnie Europejczyków. Airbus podpisał z Teheranem umowę na sprzedaż kilkudziesięciu samolotów. Francuski Total inwestuje dziesiątki milionów dolarów w Południowy Pars, największe na świecie pole naftowe. Montownie samochodów rozbudowują Peugeot i Renault. Niemcy z Siemensą podpisali umowy na dostawę 50 nowych lokomotyw i unowocześnienie całej irańskiej sieci kolejowej.

Sankcje wtórne, o których mówią Amerykanie, mają objąć wszystkie zagraniczne firmy, które współpracują z Irańczykami, czyli również europejskie. Podobny przypadek miał już miejsce w latach 90., gdy Amerykanie chcieli tak ukarać Europejczyków za biznes na Kubie. Wówczas Unia Europejska nieomal nie poszła na wojnę handlową z USA, blokując karanie europejskich firm, o ile nie miały one interesów za oceanem. Tym razem Bruksela już zapowiedziała podobny mechanizm ochronny. Dziś wszystkie strony porozumienia nuklearnego, włącznie z Iranem, przekonują, że jest ono do utrzymania nawet bez Ameryki. Gdyby jednak europejskie firmy się przestraszyły (wszystkie są obecne w USA), Iran straci ostatnie korzyści z tego porozumienia i prawdopodobnie sam od niego odstąpi.

Więcej na temat wyjścia USA z porozumienia nuklearnego z Iranem na s. 55.

Krócej jest lepiej



Z okazji 100. rocznicy powstania Czechośłowacji Czeski Komitet Olimpijski zaproponował... przedłużenie hymnu narodowego. Historycznie pieśń składa się z dwóch zwrotek: pierwszej pochodzącej z popularnego czeskiego utworu, a drugiej zaczerpniętej z kompozycji słowackiej i śpiewanej w tym właśnie języku. Po podziale państwa w 1993 r. Bratysława zabrała swoją część hymnu, dodając do niej jeszcze dwie zwrotki. Tymczasem Praga pozostała tylko z początkiem, trwającym około minuty. Według Jiříego Kejvala, przewodniczącego tamtejszego Komitetu Olimpijskiego, to za mało – zaproponował więc ponowne

dołączenie drugiej zwrotki z oryginalnej czeskiej pieśni i zlecił nawet przygotowanie nowej kompozycji muzycznej. Niestety, środowisko artystyczne powszechnie wykipiło tę wersję, minister kultury nazwał ją kiczem i nawet znany ze swojego nacjonalizmu prezydent Miloš Zeman stwierdził, że takie zmiany nie przystoją. Czesi mogą się jednak pocieszać, że przynajmniej mają te 8 wersów do odśpiewania – hymny Kosowa, San Marino, Bośni i Hercegowiny oraz Hiszpanii są w ogóle pozbawione słów, więc przed meczami ich reprezentacji kibice z tych krajów mogą jedynie pomrukiwać do melodii.

Prezydent nie odbiega od normy



Białe Dom, inaczej niż Nowogrodzka, ogłasza regularnie szczegółowe raporty o stanie zdrowia prezydenta. Nie wymaga tego prawo, tylko polityczny obyczaj. **Donald Trump**, najstarszy prezydent w momencie objęcia urzędu (70 lat), i tutaj zaczął się wyłamywać, odmawiając z początku ujawnienia swoich danych. Kiedy po jego dziwacznych tweetach i innych kontrowersyjnych zachowaniach pojawiły się pogłoski o psychicznym niezdrowieniu, w styczniu jego osobisty lekarz **Ronny Jackson** ogłosił w końcu wyniki jego trzygodzinnych badań medycznych, w tym kondycji umysłu, która, jak podkreślono, nie odbiega od normy. A z fizycznym zdrowiem wszystko jest OK, poza tym, że prezydent ma lekką nadwagę, nie przestrzega zdrowej diety i nie uprawia sportów (poza golfem).

Trump już w czasie kampanii wyborczej chętnie się chwalił, że jest jakoby najzdrowszym kandydatem prezydenckim w historii kraju. List to stwierdzający ogłosił wtedy jego ówczesny lekarz Harold Bornstein. Tymczasem na początku maja doktor Bornstein oświadczył, że cały list... podyktował mu Trump. Dodał również, że w lutym 2017 r. ochroniarze prezydenta wtargnęli do jego biura i zabrali wszystkie dokumenty z danymi o prezydenckim zdrowiu. Rzeczniczka Białego Domu Sarah Sanders wyjaśniła, że nie był to „nalot” – jak określał wizytę Bornstein – tylko „standardowa procedura” przejmowania danych medycznych prezydenta przez administrację. Czy rzeczywiście?

Rosjanie u Bokassy

Rosja szuka nowych przyczółków w Afryce. Również w miejscach tak nieoczywistych jak Republika Środkowoafrykańska. To państwo bogate w diamenty, złoto, uran i ropę naftową, od lat pogrążone w walkach religijnych i etnicznych, z których powoli wychodzi przy pomocy sił ONZ i tradycyjnie Francji. Teraz doszli Rosjanie. Po spotkaniu w Soczi prezydenta Faustina-Archange'a Tuadera z szefem dyplomacji Siergiejem Ławrowem Rosja uzyskała zgodę Rady Bezpieczeństwa na obejście embarga na dostawy broni. Ma na początek uzbroić i wyszkolić dwa bataliony armii środkowoafrykańskiej. Oprócz rosyjskich żołnierzy w stolicy Bangui pojawili się najemnicy i ludzie interesów. Ku zdziwieniu obserwatorów zaczęli się



Protestujący niosą zdjęcia chińskich dysydentów, w tym m.in. portret Liu Xia.

Wdowi areszt

Łatwiej umrzeć, niż żyć, mówi **Liu Xia**, 57-letnia malarka i poetka, najbardziej znana z chińskich więźniów sumienia. Od ośmiu lat przebywa w areszcie domowym. Jest skrzętnie pilnowana, nie wolno jej ruszyć się z pekińskiego mieszkania. Władze utrzymują, że nikt jej nie więzi i może robić, co chce, jednocześnie cyklicznie wzywały do cierpliwości i mamili odzyskaniem wolności, by nie spełniać tych obietnic. To dodatkowo pogorszyło stan Liu, która ma kłopoty z sercem i cierpi na silną depresję. Jej przyjaciel, mieszkający w Niemczech chiński pisarz Liao Yiwu, opublikował właśnie nagranie ich rozmowy telefonicznej, jeszcze z kwietnia. Liu niewiele mówi, rozmowa to wielominutowy szloch. W wydostaniu Liu z Chin zaangażowana jest niemiecka ambasada w Pekinie i pisarze

z Niemiec, w tym noblistka Herta Müller. Wątpliwe nadzieje związane są jeszcze z kanclerz Angelą Merkel, odwiedzającą w tym miesiącu Pekin, ale trudno się spodziewać, że los poetów jest na tyle istotny, aby zaważył np. na stosunkach handlowych.

Liu Xia nie postawiono żadnych zarzutów. Wystarczy, że uwiera reżim jako wdowa po Liu Xiaobo, pisarzu i literaturoznawcy, laureacie Pokojowej Nagrody Nobla. Przyznano mu ją w 2010 r., gdy odsiadywał kilkunastoletni wyrok za próbę obalenia reżimu, podstawą do skazania był udział w przygotowaniu manifestu wzywającego do demokratyzacji Chin. Pisarz zmarł w więzieniu w zeszłym roku i wygląda na to, że wdowa kontynuuje karę pozbawienia wolności po zmarłym mężu.

Wojna drogowa

Na polskich drogach trwa konflikt: przechodniów z kierowcami, spacerowiczów z rowerzystami, kierowców z motocyklistami, rowerzystów z rolkarzami, transportu zbiorowego z indywidualnym. W tej wojnie trup ściele się gęsto – tylko w ciągu ostatniej majówki zginęło 51 osób. Czy jest szansa na pokojowe współistnienie?

ADAM GRZESZAK

Mimo obserwowalnych na poziomie osobniczym deficytów, jakie wiążą się z procesem starzenia, w obrębie gatunku ludzkiego dożywanie sędziwego wieku stało się czymś ewolucyjnie korzystnym, przystosowaniem zwiększającym potencjał replikacji genów znajdujących się w puli genowej gatunku. Dla przetrwania genów ważna jest nie tylko bezpośrednia sprawność reprodukcyjna pojedynczych organizmów (osobników), ale również odpowiednie stosunki w grupie, a zwłaszcza opieka nad młodym potomstwem ze strony osobników starszych” – napisał prof. Jerzy Vetulani, wybitny polski neurobiolog w swym ostatnim artykule. Miał go zamieścić na swoim blogu, ale zrobił to już jego wnuk. Profesor nie zdążył, bo w marcu ubiegłego roku, przechodząc przez przejście dla pieszych na ulicy Balickiej w Krakowie, został potrącony przez samochód. Kilka tygodni później zmarł.

Kierowca stanął przed sądem, proces trwał blisko rok. Biegły, analizując przyczyny wypadku, stwierdził, że w chwili uderzenia auto jechało z prędkością 65 km/godz., czyli o 15 km za szybko. Gdyby kierowca stosował się do przepisów, profesor uszedłby z życiem. Sąd doszedł jednak do wniosku, że ofiara nie była bez winy, bo weszła na pasy, nie upewniwszy się, czy auto ustąpi pierwszeństwa. No i ten wiek – profesor miał przecież 81 lat. Dlatego wyrok nie był surowy: rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata i 10 tys. zł zadośćuczynienia dla rodziny zmarłego.

„Ten bardzo łagodny wyrok oznacza, że pieszy na przejściu, zwłaszcza starszy i mniej sprawny, powinien zacząć się bać” – komentował jeden z internautów na stronie „Gazety Krakowskiej”. Drugi replikował: „pieszy wchodzący na jezdnię w odległości zmuszającej kierującego do awaryjnego hamowania naraża się na niebezpieczeństwo niezależnie od tego, jakie będzie prawo i wyroki sądowe”.



Kierowcy rządzą

Ilona Butler z Centrum Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Instytutu Transportu Samochodowego, choć od lat zajmuje się badaniami przyczyn wypadków, jest pod wrażeniem krakowskiego wyroku. – *W sytuacji kolizji samochód-pieszak szanse przeżycia pieszego są niewielkie. Sądy w takich przypadkach wykazują się zaskakującą wyrozumiałością i łatwo przyjmują optykę kierowcy. Pieszak przecież i tak nie żyje, więc po co kierowcy komplikować życie?* – komentuje.

30 proc. ofiar wypadków w Polsce stanowią piesi, to jeden z najgorszych wskaźników w Europie. – *Cały nasz system bezpieczeństwa ruchu drogowego od lat koncentruje się wokół kierowcy i pasażerów samochodów. Musimy zacząć troszczyć się o pieszych. Społeczeństwo się starzeje, a trudno wszystkim zamknąć w domach i nie pozwolić im się poruszać po miastach* – dodaje Butler. Dlatego jest zwolenniczką wprowadzenia zasady bezwzględnej pierwszeństwa pieszych na przejściach, tak by kierowcy byli zobowiązani do ich przepuszczania już w chwili zbliżania się do pasów. Tak jak to jest np. w Niemczech, Francji czy Holandii.

W Polsce też było to rozważane, ale pomysł upadł, bo zaprotestowali kierowcy. W Sejmie od dawna konstytucyjną większość mają kierowcy, świadomi, że wśród ich wyborców też przybywa kierowców, dlatego wiele rozwiązań służących bezpieczeństwu analizowanych jest tylko z jednego punktu widzenia. Dziś sprawa relacji kierowca-przechodzień budzi wątpliwości, bo zgodnie z prawem pieszy zyskuje uprzywilejowanie dopiero w momencie wejścia na pasy, czyli często za późno. Dlatego sprawcy potracenia tłumaczą się z reguły „nagłym wtargnięciem” przechodnia. A wiadomo: martwi nie mają racji.

Rosnący udział osób starszych w społeczeństwie to wyzwanie nie tylko dla Polski. Jak zapewnić tym ludziom mobilność, nie narażając ich na nadmierne ryzyko? Dotyczy to nie tylko pieszych, ale także kierowców. Szacuje się, że w 2030 r. co czwarty europejski kierowca będzie miał ponad 65 lat. Jeden ze stereotypów mówi, że starsi kierowcy stanowią poważne zagrożenie. Dlatego pojawiają się wezwania, by do Kodeksu drogowego wprowadzić obowiązek specjalnych badań kontrolnych osób po sześćdziesiątce i w razie pogorszonej kondycji odbierać prawo jazdy.

– *Nie mamy dziś w Polsce szczególnego problemu ze starszymi kierowcami, bo ich udział w populacji kierujących jest stosunkowo niewielki i dotyczy niemal wyłącznie mężczyzn. Ale będzie rósł, bo wydłuża się okres społecznej aktywności. Nie ma jednak badań, także europejskich, wskazujących, by wraz z wiekiem radykalnie rosło powodowane przez takich kierowców zagrożenie. Jediną wyraźną różnicą jest zwiększona podatność na obrażenia odnoszone w wypadkach* – wyjaśnia Anna Zielińska z Polskiego Obserwatorium Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego ITS, placówki zajmującej się gromadzeniem i analizą danych na temat wypadków.

Życie na dwóch kółkach

Kłopoty osób starszych dotyczą dziś nie tylko przejść dla pieszych czy samych dróg, ale także chodników. Właściwie problem na chodnikach mają dziś niemal wszyscy piesi, bo w dużych miastach służą one do wszystkiego: jako parkingi, drogi dla rowerów, miejsce handlu, drogi dojazdowe czy place budowy.

Mamy inwazję rowerzystów, bo w Polsce, zwłaszcza w dużych miastach, dokonuje się rewolucja rowerowa. Coraz więcej osób wybiera dwa koła nie jako formę rekreacji, ale jako modny i atrakcyjny alternatywny środek transportu, którym można dotrzeć na miejsce bez stania w korku i zanieczyszczania środowiska. Rowerzyści stali się wpływowym lobby, władze miast w pośpiechu budują sieć dedeów (DDR – droga dla rowerów) i tworzą uliczne wypożyczalnie rowerów.

Nawet Mateusz Morawiecki na kongresie PiS postanowił zawalczyć o serca cyklistów, choć w partii nie są darzeni sympatią,

bo podejrzewa się ich o lewackie skłonności. PiS wolałby wyprowadzić ich poza miasta, by, pedałując, kształtowali swój patriotyzm. Dlatego Morawiecki ma dla nich taki plan: „Wybudujemy w ciągu najbliższych kilku lat 5 tys. km zintegrowanych, bezkolizyjnych, nowych tras: szlak zamków piastowskich, kompanii Pierwszej Kadrowej albo wzdłuż Wisły, od źródeł do Bałtyku. Myślę, że będzie to z pożytkiem dla zdrowia, gospodarki i estetyki, bo dzięki temu będziemy mogli podziwiać piękno polskich krajobrazów”.

Rowerzystów tym nie zachwycił, bo im zależy na dobrych warunkach jazdy, ale w miastach. A tego bez sporych inwestycji nie da się zrobić. Dziś bowiem rowerzyści często nie mogą dojechać tam, gdzie chcą, bo sieci DDR są niespójne, a przede wszystkim często za wąskie. I co gorsza, ścieżki rowerowe są wydzielane z chodników w taki sposób, że trasy pieszych i rowerzystów często i niebezpiecznie się przecinają, a rozdziela je tylko cienka biała linia.

Rodzi to konflikt rowerzystów z kierowcami, którzy tracą miejsca parkingowe na chodnikach i w efekcie nielegalnie parkują na ścieżkach, blokując przejazd. Także piesi nie są zachwyceni, bo muszą się pomieścić na pozostałym wąskim pasie chodnika.

– *Władze miast nie przewidziały tempa, w jakim będzie się rozwijał ruch rowerowy. Infrastruktura jest za wąska, nawet tam, gdzie jest przestrzeń, by ją poszerzyć. Zarządcy i organizatorzy ruchu są przekonani, że minimalna wymagana prawem szerokość (2 m) wystarczy, bo dzięki temu można zaoszczędzić na kosztach budowy. W sytuacji braku równoległych tras na ścieżkach tworzą się korki, a mniej subordynowani rowerzyści wybierają jazdę po chodniku albo jezdni* – wyjaśnia Witold Smolik z Warszawskiej Masy Krytycznej, organizacji miejskich rowerzystów.

Jednoślady – nie tylko rowery, ale także motocykle, motorowery, skutery – stały się popularnym miejskim środkiem transportu, bo są sposobem na ominięcie korków. Z punktu widzenia władz miejskich to korzystne rozwiązanie, bo racjonalniej wykorzystuje deficytową przestrzeń. Przytłaczająca większość samochodów osobowych wiezie dziś tylko kierowcę, a do zaparkowania wymaga minimum 11,5 m kw. (obowiązujący normatyw). Na przestrzeni, którą zajmuje jeden samochód, można pomieścić wiele jednośladów. Dlatego niektóre miasta zaczęły dopuszczać motocykle do jazdy buspasami, co stało się kolejnym zarzewiem konfliktu na linii transport publiczny-indywidualny. Bo transport publiczny wymaga jeszcze mniej przestrzeni. Jeden miejski autobus z pasażerami to odpowiednik 150 m kolumny aut osobowych na pięciu pasach (w Krakowie zrobiono kiedyś taki pokaz).

Współistnienie samochodów osobowych, dostawczych, jednośladów i transportu publicznego w gęstym ruchu miejskim rodzi nieustające konflikty. Motocykliści narzekają na kierowców, kierowcy na motocyklistów, zwłaszcza że wśród tych ostatnich jest skłonność do ostrej jazdy. Kierowcy mają też na pieku z rowerzystami, którzy jeżdżą wśród samochodów, choć równolegle prowadzą ścieżki rowerowe. To też nielegalne (wypowiadały się już na ten temat sądy), a jeśli coś rowerzystów powstrzymuje, to nie strach przed mandatem, ale obawa o własne życie.

Jednak największym punktem zapalnym są przejścia dla pieszych i skrzyżowania ścieżek rowerowych z ulicami. Rowerzyści zwykle pedałują przez przejścia dla pieszych, choć powinni zsiadać z roweru i go prowadzić. Tam zaś, gdzie mają własne, oddzielne przejazdy, wjeżdżają, nie zwalniając, uznając, że mają bezwzględne pierwszeństwo. Tymczasem sytuacja prawna nie jest oczywista. I tak dochodzi do kolizji z samochodami.

– *Rowerzysta, dojeżdżając do przejazdu, nie ma bezwzględnej pierwszeństwa. Powinien zwolnić, zachować ostrożność i upewnić się, czy może bezpiecznie przejechać. Zwłaszcza że to on więcej ryzykuje. W sensie prawnym to sytuacja trochę podobna do przechodzenia pieszego po pasach, ale o tyle niebezpieczniejsza, że rowerzysta porusza się dużo szybciej, więc kierowca ma mniej czasu, by go zauważyć i zareagować* – wyjaśnia Maciej Wroński, ekspert ►